

**PIOTR ROWICKI**

**16.10 DO  
BERGAMO**



Piotr Rowicki  
**16.10 do Bergamo**

© by Piotr Rowicki  
© by Wydawnictwo Literatura

Okładka:  
Elżbieta Chojna

Korekta i skład:  
Aneta Kunowska, Joanna Pijewska

Wydanie I

**ISBN 978-83-7672-559-8**

Wydawnictwo Literatura, Łódź 2017  
91-334 Łódź, ul. Srebrna 41  
handlowy@wyd-literatura.com.pl  
tel. (42) 630-23-81  
www.wyd-literatura.com.pl

Za górami, za lasami żyła sobie dziewczynka. Ani mała, ani duża. W sam raz. Tak jej się przynajmniej wydawało. Nazywała się Lidka i bardzo nie lubiła tego imienia.

Nie lubiła też zup, deszczu, Wiedźmy, szurających kapci dziadka.

Nie lubiła, jak dziadek chrapał przy włączonej telewizji. Jak ciągle sprawdzał pogodę, chociaż nigdzie nie wychodził.

Najbardziej jednak nie lubiła, jak wyjeżdżała mama.

Lidka lubiła, kiedy mama wracała. Najpierw raz na miesiąc, potem raz na dwa miesiące, a potem tylko na święta.

Lubiła też pisać listy do mamy. A potem wyglądać listonosza.

Przymierzać mamy sukienki.

Używać mamy kosmetyków (mama tego nie lubiła).

Lubiła myśleć o mamie przed snem, śnić o niej i budzić się z myślą, że jest.

Lidka lubiła Adriana, który mieszkał dwa domy dalej. I jego komputer, który znał odpowiedzi na wszystkie możliwe i niemożliwe pytania. Wiedział na przykład, że z Cebulówki do Bergamo jest 1455 kilometrów i że można taką drogę pokonać

w czternaście godzin i czterdzieści jeden minut. Najlepiej jednym z samochodów, które stały w komisie Adriana taty.

O Bergamo Lidka nie potrafiła powiedzieć czy je lubi, czy nie.

Nie lubiła za to, że było od Cebulówki tak daleko. I że właśnie tam mama znalazła pracę. A lubiła za wszystko pozostałe.

## I

Poniedziałek.

Dziadek Antek szura kapciami.

Ciap, ciap, ciap, szur, szur, szur.

Idzie po sól. Bierze sól. Niesie sól. Wsypuje sól. Miesza.

Próbuje.

Wtorek.

Ciap, ciap, ciap, szur, szur, szur.

Odnosi sól. Stawia sól.

Środa.

– Miało być słońce, a nie ma – mówi.

Teraz dziadek szura w stronę okna. W stronę słońca. Po słońce. Bo skoro w telewizji mówili, że miało być, a nie ma, to coś jest nie tak. Tylko co? Słońce? Telewizja? A może dziadek?

Czwartek.

Ciap, ciap, ciap, szur, szur, szur.

Dziadek Antek siada na łóżku i dotyka mojej głowy.

– Znów gorączka!

– Skąd ta gorączka? Co się dzieje!

– Zjesz zupy? Zjedz zupy. Zupa jest dobra.

Żeby jeszcze dziadek wiedział, że są różne zupy. Może wie, ale ma kłopoty z pamięcią. I ciągle gotuje tę samą. Nie jest zła. Jest słona.

Piątek.

Szur, szur, szur. Ciap, ciap, ciap.

Dziadek Antek szura kapciami i jest wściekły. Dlaczego świeci słońce, skoro miał padać deszcz? W telewizji przecież wyraźnie mówili, że od rana na obszarze całego kraju chmury i ciągle opady, a tu słońce – znów coś jest nie tak.

– No i jeszcze ta gorączka. To wszystko przez to, że nie chcesz jeść zupy. Gdybyś jadła zupę, byłabyś zdrowa, a tak masz.

Hokus-pokus – mam gorączkę.

Od jakiegoś czasu potrafię czarować. Na razie są to małe czary.

Hokus-pokus – mam gorączkę.

Żeby czarować, trzeba mieć silną wolę.

Nie trzeba różdżki, niepotrzebne są zaklęcia, kapelusz i płaszcz też są zbędne. Wystarczy wola, dużo silnej woli.

Moja wola potrafi przesunąć kreskę na termometrze z trzydziestu sześciu i sześciu kresek na trzydzieści siedem i cztery. To niewiele, ale na początek wystarczy.

Robię tak: zamykam oczy i mocno myślę o czymś bardzo ciepłym. O piecach hutniczych. O lipcu. O lawie wulkanicznej. I robi się ciepło. I nie idę do szkoły.

To nie jest takie łatwe, ale można się tego nauczyć. Najpierw trenowałam na samochodach. Siadałam przy oknie i mówiłam: „Teraz przejedzie czerwony”. Zamykałam oczy i myślałam o wszystkim, co czerwone. Całą sobą przyciągałam auto w tym kolorze. Na początku było bardzo ciężko. Chociaż wysilałam całą moc, czerwony samochód przyjeżdżał piąty, szósty albo wcale. To wszystko pewnie przez to, że czerwonych samochodów jeździ tak mało. Po którymś treningu moja moc osiągnęła niewiarygodny poziom. Powiedziałam: „Następny będzie srebrny”. I prawie, prawie się udało. Bo ten srebrny, któ-

ry miał przejechać następny, tuż przed domem został wyprzedzony przez czarny. To zwykły pech. Nawet czarownicom się zdarza. Szczególnie takim początkującym.

Z dziadkiem szło mi dużo lepiej. Potrafiłam zmusić go w myślach do różnych czynności, albo żeby tylko coś powiedział.

Teraz dziadek podejdzie do okna i spojrzy na gołębnik.

Raz, dwa, trzy, cztery – mocy, przybywaj!

Dziadek idzie do okna i patrzy na gołębnik.

Pytam go, dlaczego spojrzał właśnie tam, czy coś mu kazało. Powiedział, że nic mu nie kazało, że od osiemdziesięciu lat patrzy na gołębnik.

Akurat, już mu wierzę. To ja mu tam kazałam spojrzeć.

Teraz dziadek podejdzie do garnka i weźmie łyżkę.

Dziadek podchodzi do garnka i bierze łyżkę.

Teraz dziadek wróci do stołu, odstawi krzesło i usiądzie.

Dziadek wraca do stołu i stoi.

Siadaj! No czego stoisz? Znów poszedł do okna.

Nie da się kontrolować dziadka przez cały czas, ale pracuję nad tym. Muszę dużo, dużo trenować.

Jak dojdę do wprawy, nauczę się sterować ludźmi. No, może nie wszystkimi, ale tymi, na których mi zależy. I nie chodzi mi o sterowanie w prawo czy w lewo, będę kierować ich myślami. Na razie jednak mam mało czasu na treningi. I ciągle nie mogę dojść do odpowiedniej czarodziejskiej formy.

\* \* \*

*Kochana mamo,*

*autobus z Tobą odjechał dwadzieścia osiem minut temu. Nie wiem, o czym Ci napisać. U nas wszystko w porządku. Przez te ostatnie dwadzieścia osiem minut, kiedy Cię nie było, niewiele się*

*wydarzyło. Siedzę przy biurku, oczywiście nie garbiąc się, i zastanawiam się, gdzie teraz jesteś.*

*Przez dwadzieścia osiem minut autobus nie odjechał zbyt daleko, szczególnie że po drodze jest sporo przystanków i z pewnością na każdym ktoś wsiada. Nie uważasz, że dużo ludzi ciągle gdzieś wyjeżdża? Myślisz, że to w porządku? Moim zdaniem lepiej by było, żeby więcej zostawało, a tylko taka mała, maleńka część, która naprawdę musi, mogłaby sobie gdzieś pojechać.*

*Wpadłam też na pomysł, żeby zrobić rozróżnienie czasu. Jak by Ci to wytłumaczyć. Wydaje mi się, że Tobie czas płynie szybciej niż mnie. I tym wszystkim, którzy gdzieś jadą, tak samo. A ci, którzy zostają, muszą się męczyć. Im się czas wlecze. To jest po prostu niesprawiedliwe. Nie można by wprowadzić kilku stref czasowych: dla wyjeżdżających i dla oczekujących, bo przecież minuta minucie nierówna. Ty nawet nie zauważyłaś tych dwudziestu ośmiu minut, a mnie wydaje się, że nie ma Cię od miesiąca. Co myślisz o przeliczniku cztery do jednego?*

*Dokładnie jak to zrobić, nie wiem, z matematyki nigdy nie byłam dobra, ale może wystarczyłoby wprowadzić dwa rodzaje zegarków. Czy mi się wydaje, czy kiedyś mówiłaś, że ktoś z naszej rodziny jest zegarmistrzem? Może on by jakoś pomógł?*

*Dobrze, że trafiło Ci się to miejsce przy oknie. Mam nadzieję, że zaczęły się już jakieś widoki, na których można zawiesić oko. Wiesz, co by było, gdyby ludzie naprawdę zawieszali oczy na wyjątkowo pięknych widokach? Jedno by zawieszali, a drugie sobie zostawiali. Życ całkiem bez oczu to się za bardzo nie da. Takie zostawione oko syciłoby się pięknem góry, wodospadu albo rzeki przez jakiś czas, a potem wracałoby wypoczęte, szczęśliwe do swego właściciela. Najgorzej by było, gdyby wielu ludzi zawiesiło swoje oczy na tym samym widoku. Tak by się mogło zdarzyć, prawda? Potem doszłoby do kłótni: „Przepraszam pana, ale to*

*moje oko, nie widzi pan, kiedy na mnie patrzy?” Ludzie wrywaliby sobie oczy albo skakali do oczu. Byłoby zabawnie.*

*Nie wiem, na czym zawiesiłabym moje oko. Jeszcze się nad tym nie zastanawiałam. Ciekawe, czy takie oko mogłoby potem opowiedzieć człowiekowi, co widziało przez ten czas, jak z nim nie było. Nie, chyba nie. Oko nie pamięta. Tylko mózg. Trzeba by zawieszać oko i mózg, a to nie wyglądałoby zbyt dobrze.*

*Chyba ten gruby pan, co pchał się przy wsiadaniu, nie usiadł obok? On też nie wyglądał dobrze.*

*Jak zajedziesz, napisz mi, jak minęła Ci podróż i co tym razem widziałaś po drodze.*

*Nie śpij zbyt długo w autobusie, dopiero w nocy, bo w ten sposób możesz przegapić coś ciekawego. Może jakąś skałę o dziwnym kształcie, na przykład taką, o której opowiadałaś mi ostatnim razem. Myślę, że to naprawdę mógł być jakiś olbrzym, który skamieniał. Tymczasem będę powoli kończyć.*

*Twoja L.*

## II

Dziadek ma ze mną skaranie boskie. Bo z dziećmi tak jest. Musi mnie karmić, pilnować, odprowadzać, przyprowadzać, znów karmić, potem jeszcze trochę popilnować i tak w kółko. Przez to, czyli przeze mnie, zaniedbuje gołębie. I Polski Związek Hodowców Gołębi Poczтовых ma do niego pretensje. Bo przecież dziadek z takim doświadczeniem, z taką ręką, z tymi wszystkimi pucharami, dyplomami, nagrodami mógłby zająć bardzo daleko. Mógłby zostać wspaniałym prezesem oddziału

albo przynajmniej skarbnikiem, a tak, klops, spoczął na laurach. Tak mówi listonosz, a on dużo z ludźmi rozmawia i jest we wszystkim najlepiej zorientowany.

O co chodzi z tymi gołębiami – nie wiem, nie rozumiem, dlaczego je się trzyma i dlaczego mówi się, że „ładnie chodzą” albo „wysoko chodzą”. Dlaczego mają takie dziwne nazwy i dlaczego niektórzy wywożą je gdzieś daleko, a potem liczą, ile czasu zajmie im powrót. I cieszą się, że któryś pobił rekord i jest bardziej rasowy niż inny i dlatego wart jest czapkę pieniędzy, a inny tylko marne grosze.

Jak pan listonosz rozmawia z dziadkiem o gołębiach, staram się zniknąć, ale tej trudnej sztuki nie opanowałam jeszcze zbyt dobrze. Dziadek mówi, że stoję i mam głupią minę. Tak pewnie wygląda początek znikania.

Dopiero potem mogę zadawać pytania, które nie dają mi spokoju, a nie mam jeszcze tyle pieniędzy, żeby Adrian sprawdził mi w komputerze.

– Dziadek, a w Bergamo są wulkany?

Dziadek nie wie. I nie wie, co powiedzieć. Na wszelki wypadek mówi, że nie.

– Ja słyszałam, że we Włoszech jest Wezuwiusz. I to jest wulkan. A może Bergamo jest niedaleko?

Teraz dziadek będzie udawał głuchego.

– Co mówisz? Co tam mówisz? No, nie słyszę.

– Pytałam, czy z Bergamo widać Wezuwiusza?

– Kogo widać? Poczekaj, poczekaj, teraz nie mogę.

– Ile jedzie się do Bergamo?

– Oj, długo.

– Tydzień?

– Nie, tak długo to nie.

– A ile razy trzeba się przesiadać?

– Dwa.  
 – A nie trzy?  
 – Skąd ci to przyszło do głowy?  
 – A przez jakie góry się jedzie?  
 – Nooo, różne.  
 – Przez Tatry, prawda?  
 – Prawda.  
 – I Pireneje?  
 – Nie, Pireneje nie.  
 – Ale Alpy, tak?  
 – Alpy tak.  
 – A które góry są największe?  
 – Himalaje.  
 – Ale mama nie jedzie przez Himalaje?  
 – Nie. Dlaczego miałyby jechać przez Himalaje?  
 – Sam powiedziałeś.  
 – Pytałaś, które góry są największe. To ci powiedziałem.  
 – Ja pytałam, które góry są największe w drodze z Cebulówki do Bergamo. A rzeki?  
 – Co rzeki?  
 – Które rzeki trzeba pokonać?  
 – Mnóstwo. Trzeba sprawdzić na mapie.  
 – Czy na mapie jest droga do Bergamo?  
 – Dlaczego ma nie być?  
 – Bo przecież nie wszyscy jeżdżą do Bergamo. Natalki mama jeździ do Monachium. Klaudii za Frankfurt. A wujek Karoliny jeździ wszędzie, bo ma taką pracę, na tirach. To skąd ktoś może wiedzieć, która droga prowadzi do Bergamo?  
 – Na mapie są wszystkie drogi. Trzeba wybrać.  
 – Nie lepiej zrobić taką mapę, żeby była tylko jedna droga, właściwa?

– To możesz zrobić taką mapę.  
 – A ty nie możesz?  
 – Nie mogę.  
 – Dlaczego?  
 – Bo nigdzie się nie wybieram.  
 – To po co sprawdzasz pogodę?

Na tym zwykle nasze rozmowy się kończą. Dziadek nie lubi, jak mu wypominam pogodę. Nie lubi, jak pogoda się nie sprawdza. Myślę, że on w ogóle nie cierpi całej tej pogody i chciałby, żeby cały czas było tak samo.

\* \* \*

Najgorsze są weekendy. Wszyscy na nie czekają, jakby to były jakieś nie wiadomo jakie dni, w których wydarzy się coś niezwykłego.

Już sama sobota by wystarczyła. Ale nie, ktoś jeszcze musiał wymyślić niedzielę. Ten przepiękny, słoneczny dzień, w którym od rana do wieczora nic, ale to nic się nie dzieje.

Sobota jest jak stary, uparty osioł. Stoi i ryczy wniebogłosy. Sąsiedzi się spieszą, bo zaraz będzie za późno, zaraz ucieknie im wolny dzień. Po całej Cebulówce od rana snuje się swąd palonej kiełbasy. Wszyscy mają grille, tylko tata Adriana barbecue na węgiel wulkaniczny. Adrian sam go obsługuje i ciągle mnie zaprasza, żebym zobaczyła, jak wygląda przy barbecue, i ten węgiel, który tak naprawdę jest zastygłą lawą wulkaniczną, i to nie z jakiejś tam Islandii, tylko z Ameryki Południowej. Kiełbasa na takiej lawie ma zupełnie inny smak i powinnam koniecznie jej spróbować, ale nie próbuję.

Wolę się nudzić.

Po prostu mi się nic nie chce. I nienawidzę, jak ktoś mnie do czegoś zmusza. Na przykład do weekendu. Wolę, żeby cały

czas był normalny tydzień. Po czym tu odpoczywać? Odpoczynek jest sto razy bardziej męczący niż praca czy szkoła. Sobotnim wieczorem na drodze jest bardzo wielu zmęczonych ludzi, w zwykły dzień ich aż tak nie widać, a wtedy jak najbardziej. Niektórzy nie mają siły wrócić do domu.

Jeśli sobota jest starym osłem, to jak nazwać niedzielę?

W niedzielę nie ma nic.

Listonosz nie przyjdzie, bo ma wolne. Wszyscy mają wolne i tylko nie wiadomo co z tą wolnością zrobić.

W niedzielę powinnam odrabiać lekcje. Powinnam pójść do kościoła. Powinnam się ładnie ubrać. Powinnam się ucześć. Powinnam siedzieć prosto. Słuchać, co do mnie mówią.

A ja chcę, żeby w niedzielę był poniedziałek. Poniedziałku żeby wcale nie było. Przecież nikt go nie lubi. Po co komuś dzień, którego nikt nie lubi? Od czego jest rząd i prezydent? Może im się podoba poniedziałek, bo mogą rządzić.

Jak się nad tym zastanowię, to mało jest dni, które lubię.

Może ten, w którym mama dzwoni. Tyle że za każdym razem jest inny. Mama lubi robić niespodzianki. Tyle że mogę rozmawiać krótko i o najważniejszych rzeczach. A ja nigdy nie wiem, które są najważniejsze. Wszystkie wydają mi się tak samo istotne. No i zaczynam mówić o wszystkim naraz. I mama nic nie rozumie, ja się denerwuję, gubię wątek i plotę trzy po trzy. Podobno, bo ja się nie słyszę. Czy to nie dziwne, nie słyszeć własnego głosu? Tak się robi często, jak się do czegoś bardzo przyzwyczajamy. Chociaż ja się do niczego nie przyzwyczajam.

W zeszłą niedzielę zrobiłam sobie asymetryczną grzywkę. Znalazłam w szufladzie gazetę, w której napisano, że asymetryczne grzywki wracają. I będą „hitem lata”. Jak już ją sobie zrobiłam, usiadłam naprzeciwko dziadka i czekałam, co powie. Ale on milczał. Patrzył i nie widział. Typowy facet. Jakbym zro-

biła sobie asymetryczną głowę, to może by coś zauważył. Dopiero następnego dnia doszło do niego, że coś jest ze mną nie tak. Ale nie mógł sobie przypomnieć co. Zresztą musiałam ją odasymetrycznić, bo pani w szkole powiedziała, że chyba oszalałam i że jak jeszcze raz przyjdę z czymś takim na głowie, to mi to zlikwiduje własnoręcznie.

Wracając do niedzieli – do kościoła muszę chodzić, ale nie chodzę. Dziadek mnie tylko sprawdza, kto odprowadził i o czym było kazanie. To się da łatwo obejść. Wystarczy spojrzeć, czy samochód stoi pod plebanią. Jak proboszcza, to znaczy, że ksiądz Andrzej pojechał do kaplicy. Jak ksiądz Andrzej, to znaczy, że proboszcz odprowadza w terenie, a ksiądz Andrzej na miejscu. Proste.

Kazania sama wymyślam. Dziadkowi bardzo się podobają. O tym, że ludzie są coraz gorsi. I że coraz więcej zła na świecie. Albo że trzeba nastawiać drugi policzek. O niewiernym Tomaszku. Tematów mi nie brakuje. Zdarzyło się raz, że dziadek coś zaczął podejrzewać.

– O czym dziś mówił wielebny?

– No wiesz, o tych pannach mądrych i głupich... – zrozumiałam, że palnęłam głupstwo. Czułam, że oblewa mnie rumieniec. Na wszelki wypadek zaczęłam pilnie szukać czegoś w szufladzie.

Dziadkowi coś nie zgadzało. Musiał pomyśleć.

– Znowu? Co on zgłupiał? Tydzień w tydzień to samo?

– To był drugi odcinek. Zeszłej niedzieli nie zdążył dokończyć. Wiesz, jak w telewizji.

– Co w telewizji?

– No jak się kończy jakiś serial, to leci kawałek następnego odcinka i mówią: „A już za tydzień...”. Wtedy więcej ludzi ogląda, bo się zaciekawili. Tak samo ksiądz. Rozumiesz?

– Świat się wali – powiedział dziadek i tym samym temat został skończony. Jak dziadek się na coś wścieka i nie ma nic ciekawego do powiedzenia, zawsze mówi: „świat się wali”. To dość sprytne. Ciekawe tylko, co będzie, jak kiedyś świat naprawdę zacznie się walić. Czy dziadek będzie z siebie zadowolony i powie: „A nie mówiłem?”

W czasie mszy, jak jest ciepło, przeważnie chodzę po cmentarzu. To dużo ciekawsze niż słuchanie ciągle tego samego. Na cmentarzu patrzę na twarze, czytam nazwiska i liczę, ile kto żył. Niektórzy nie mają najweselszych min. Ciekawe, czy ktoś się zastanawiał, jak robił sobie zdjęcie, gdzie ono będzie później wisiało i kto będzie na nie patrzył. Przecież fotograf im chyba tego nie powiedział: „Proszę o uśmiech, to na cmentarz”. Może raczej musiał im zabraniać głupawego szczerzenia zębów: „Proszę pani, trochę powagi, czemu się pani tak uśmiecha? Nie wie pani, gdzie to będzie wisiało?”

Potem idę na chwilę do taty i babci. Oni mnie przynajmniej rozumieją. Mama w Bergamo, dziadek w domu, dlaczego mam z obcymi ludźmi siedzieć w kościele. I jeszcze się wszyscy na mnie gapią. Jak się ubrałam, czy się uczesałam, czy zęby i buty wyszorowałam, jak siedzę, jak trzymam ręce, czy nie ruszam buzią, czy nie zamykam oczu, czy się nie rozglądam, czy się nie drapię, czy się nie przepycham, czy słucham, czy odpowiadam i czy głośno, czy śpiewam, czy nie fałszuję. Jakby Jezus ich wszystkich zobaczył, w tych lisach, skórkach i garniturach, to pierwszy by uciekł, na Golgotę albo jeszcze dalej. A jakby usłyszał panie z naszego chóru, toby umarł i nigdy nie zmartwychwstał, ani po trzech, ani po stu pięćdziesięciu trzech dniach. W życiu. Je nawet na cmentarzu słysząc. Nigdzie spokoju. Nigdzie chwili odpoczynku.

Po mszy wracam z innymi. To znaczy na końcu. Żeby uniknąć trudnych pytań. Chociaż jak wrócę, to i tak mam z dziadkiem niezły teleturniej.

W środy przychodzi do nas Wiedźma. To dziadek tak ją nazwał. „O, idzie ta wiedźma”. Nie wiem dlaczego. Nie ma mioty. Kot za nią nie chodzi. Nie wypowiada żadnych zaklęć, chociaż muszę przyznać – zachowuje się dziwnie.

Wiedźma siada przy stole, przesuwa palcem po obrusie, a potem patrzy raz na palec, raz na obrus. To test na brud. Jeżeli Wiedźma znajdzie brud, będzie zła. U-ha!

Siedząc przy stole, Wiedźma pyta o jedzenie, ale nigdy nie je.

Czy dziecko jadło ciepłe? Czy trzy dania dziennie? Czy dużo jarzyn aby? Czy nie za tłusto? Czy kaloryczność się zgadza? Mleko czy pije? Czy urozmaicone posiłki? Czy o jednej porze? Czy drugie śniadania bierze? Czy nie przynosi z powrotem?

Dziadek odpowiada, ale jak Wiedźma zaczyna wchodzić w szczegóły, robi się niebezpiecznie – bo czy zupa odgrzewana, z wczorajszego dnia, podana na obiad i kolację może być zaliczona do dań gorących i w ogóle dań?

Dalej – czy wypada w porządnym domu jeść na śniadanie obiad, w dodatku wczorajszy?

Dziadek zaczyna udawać głuchego, ja jestem głucha cały czas, nie wolno mi odpowiadać na żadne pytania Wiedźmy, choćby nie wiem co. I nie powinny mnie skłonić do tego żadne tam „Lidunie”, „Lideczki” i inne podstępny. Mam milczeć jak grób.

To milczę.

Wiedźma przychodzi do nas, bo taką ma pracę.

Czy to jest dobra praca? Ciągłe u obcych ludzi wodzić palcem po stole, zaglądać do garnków i zadawać mnóstwo dziwnych pytań?



Nie chciałabym mieć takiej pracy. W obcym domu można spotkać różnych, czasem dziwnych ludzi. A jak się spotka takich, którzy stołu nie sprzątają? To co im powiedzieć? Nakrzyczeć, wystawić mandat czy zanotować w notesie i przekazać dalej? A może oni nie sprzątają stołu, bo nie mają na to czasu albo im się podoba stół mniej posprzątany, albo nawet z powyłamywanymi nogami? Po co ich do czegoś zmuszać?

Może ta praca jest po prostu dobrze płatna. A może Wiedźma do żadnej innej się nie nadaje. Może ma we krwi jeżdżenie paluchem po stole i wężanie, co ktoś gotował i ile?

Ciekawe, czy Wiedźma ma swój dom i czy jak wraca po pracy, zachowuje się tak samo. Czy pyta męża: „Wytarłeś stół? Co dziś na obiad? Kochanie, czy przypadkiem nie odgrzewasz mi wczorajszej zupy?”. A potem mu grozi: „Jeżeli dalej tak będzie, wyciągnę konsekwencje”. Ciekawe skąd? Pewnie z tej wielkiej, czarnej torby z papierzyskami, którą ze sobą nosi. Ile tych konsekwencji może się w niej zmieścić? Jest przepastna. Tysiąc. Miliard konsekwencji.

Co to w ogóle są te konsekwencje?

Wiedźma jest urzędnikiem państwowym, ciągle to powtarza. Mnie się wydaje, że tylko udaje. Przebrała się. Schowała miotłę. Kota gdzieś zamknęła i tylko go od czasu do czasu odwiedza. Bo gdyby była zwykłą urzędniczką, to moje czary by na nią działały. Cały wtorkowy wieczór wysilam wolę i koncentruję się, powtarzając: „Żeby nie przyszła, żeby nie przyszła”. Wyobrażam sobie, jak idąc koło naszego domu, nagle zatrzymuje się podejrzenie wyglądający samochód, dwóch zbirów w kominiarkach wciąga ją do środka, samochód odjeżdża z piskiem opon. Kiedy to nie pomaga, porywają ją zielone stwory i kosmiczną energią wsysają do migającego w ogródku spodka.

Niestety. Wszystko na nic, moja wola wobec mocy Wiedźmy jest bez szans.

Przypuszczam, że ma wyższą kategorię. Może nawet czarny pas. I nic nie da się jej zrobić.

Dzisiaj nie milczałam. Dziadek poszedł do pokoju szukać jakiegoś dokumentu. Wiedźma obejrzała palec i potem skierowała go w moją stronę.

– Co, Liduś, chcesz mi coś powiedzieć?

– Tak, proszę pani.

– Nie krępuj się, możesz pytać, o co tylko chcesz.

– Czy pani ma kota?

– Ja?

– Tak.

– Mam.

– Czarnego?

– No... tak. A dlaczego pytasz?

– Tak tylko.

Nie miałam wątpliwości. Wiedźma popatrzyła na mnie i uśmiechnęła się. Ja wiedziałam i ona wiedziała. Wszystko było jasne. Nawet nie czekała na dziadka. Wyszła przed dom, wyjęła z torby składaną miotłę, usiadła i odleciała.

Kiedy dziadek wrócił i zapytał, gdzie ona, wskazałam na niebo i powiedziałam:

– Tam.

### III

Zawsze jak dziadek się obraża, mówi, że nie będzie gotował zupy. I bardzo dobrze. Zaoszczędzimy na gazie, na dziadka kapciach, na soli, wodzie i w ogóle na wszystkim.

Teraz czekam na listonosza. Wiem dokładnie, w którym momencie jego rower powinien pojawić się między przystan-

kiem a drzewami. Latem wyglądam na niego z drogi, wtedy jest łatwiej. Rower listonosza wydaje dość donośne dźwięki. Pan Frątczak specjalnie go nie oliwi, żeby odstraszać psy. Psy to największa plaga w życiu listonosza. Plagi egipskie to przy nich małe piwo przed śniadaniem – tak uważa pan Frątczak.

Ale dzisiaj się nie pojawia i już się nie pojawi. Gdy listonosz nic dla nas nie ma, jeździ inną drogą, chociaż cuda się zdarzają. Trzeba tylko w nie wierzyć.

W szkole był Dzień Matki. Niestety nie udało mi się wyzarować gorączki. Trzydzieści sześć i sześć kresek oznaczało, że musiałam się ubrać na galowo i udawać, że śpiewam.

„Mamo, mamo, mamo, mamo, spojrzij i uśmiechnij się, zawsze kocham cię tak samo, każdej nocy i we dnie”.

Prosiłam dziadka, żeby nie przychodził, ale się uparł. „Będzie ci różniej”.

– Dziadku, proszę cię, to jest Dzień Matki. Jak to będzie wyglądało?

– Bardzo dobrze będzie wyglądało, chyba się mnie nie wstydzisz?

– Nie o to chodzi. Jak nie mogłeś przyjść na Dzień Dziadka, mama cię nie zastępowała.

– Stanę sobie w kąciку i będę udawał, że mnie nie ma.

W czasie uroczystości w dziadka Antka jakby diabeł wstał. Pierwszy zaczynał klaskać, podskakiwał, dośpiewywał, pokrzykiwał: „Brawo, brawo!”. Na prawo i lewo zagadywał stojące mamy. Coś opowiadał. Śmiał się. Z czego tu się śmiać? Żeby miał jeszcze jakiś powód.

Co on sobie wyobraża, że kim jest? I jeszcze był zdziwiony, że nie dostał kwiatka.

– A teraz, na zakończenie, wszystkie dzieci wręczają swoim mamom kwiatki wykonane techniką origami – nauczycielka była przeszczęśliwa, że mamy dostaną kwiatki i do tego origami.

Trzeba było widzieć minę dziadka. Czekał na mnie przed wejściem.

– Dlaczego nie dałaś mi kwiatka?

– Bo nie.

– Ale... – chciał coś jeszcze dodać, machnął tylko ręką i poszedł. Dwa razy szybciej niż zwykle.

I nie będzie zupy. Świetnie. Chociaż chce mi się jeść. Tyle się słyszy o niedożywionych dzieciach. Z takiego niedożywienia można zapaść na jakąś chorobę. Przypuszczam, że nie jest ona zbyt przyjemna i pewnie po jakimś czasie kończy się śmiercią. Wyobrażam sobie mamę, jak jedzie z Bergamo na mój pogrzeb. Klepsydry z moim imieniem i nazwiskiem wiszą na wszystkich drzewach i płotach. „Zmarła śmiercią głodową”. „Cześć jej pamięci. Pograżona w bólu rodzina” – oprócz dziadka. Dziadek przecież się obraził na amen. Nawet mój zgon nie sprawi, że pogrąży się w bólu. On mnie nienawidzi. Będzie się cieszył, jak umrę. Bo nie dałam mu kwiatka origami. A przecież był taką piękną mamą! I nikt tak jak on nie zasłużył na kwiatka origami. Po co mu ten kawałek papieru? Jak tak bardzo chce, to mogę mu posklepać kawałek kartki i niech sobie go weźmie i robi z nim, co zechce. Wielka mi rzecz. Jak pójdzie spać, to sobie coś wezmę z lodówki. No tak, ale ostatnio cierpi na bezsenność. Wiele razy widziałam go przy stole, rozwiązywał krzyżówki, słuchał radia i czekał na sen. Czasami nawet do trzeciej w nocy. Teraz też tam siedzi. Trzeba będzie go przebłagać. Jakąś kanapkę chociaż. Przysiadłam się, mając nadzieję, że przemówi pierwszy. Milczał.

– Dobrze, że nie ugotowałaś tej zupy.

– Cieszę się.

– Musiałbyś się nachodzić, naobierać, nasolić, nakroić.

– Rzeka na M...

– Coś innego tobym zjadła.  
 – Nie mam teraz czasu. Na siedem liter ta rzeka.  
 – To nie wiem.  
 – A na sześć?  
 – W ogóle nie znam żadnej rzeki na M, ani na sześć, ani na siedem.  
 – Może ty byś coś raz ugotowała?  
 – Ale co?  
 – Ja też sobie codziennie zadaję to pytanie. W nocy je sobie zadaję. Nad ranem.  
 – Tak? Przecież gotujesz ciągle to samo.  
 – Nic nie poradzę, że odpowiedź jest zawsze identyczna. Dać ci przepis? Najpierw musisz wrzucić do wody kawałek kości z mięsem... dobra, koniec tych głupot, mogą być naleśniki?  
 – A umiesz?  
 – Pytanie.  
 – Listonosza nie było?  
 – Nie było. Jaki masz do niego interes?  
 – Czekam na list.  
 – Położyłem ci na szafce.  
 – Przecież powiedziałaś, że nie było.  
 – Spotkałem go przed szkołą. No co tak się patrzysz, zmykaj.  
 – Przepraszam.  
 – Za co?  
 – Nie umiem robić kwiatów origami. Dziadek?...  
 – Tak?  
 – Kim byłeś, jak jeszcze nie byłeś dziadkiem?  
 – Nikim.  
 – Musiałeś kimś być.  
 – Sama zgadnij, jak jesteś taka mądra.  
 – Kucharzem raczej nie, podróżnikiem też nie.

– A dlaczego nie?  
 – Znałbyś się lepiej na rzekach.  
 – Kombinuj, kombinuj.  
 – Nie wiem.  
 – Ode mnie się nie dowiesz. Za piętnaście minut widzę cię przy stole. Koniec pytań.  
 Chciałam coś jeszcze powiedzieć, ale dziadek sobie poszedł. Udawał, że zatyka sobie uszy i ogania się, jakbym była namolną muchą, która w niedzielne poranki zatruwa ludziom życie.  
 Ten feralny dzień skończył się mimo wszystko bardzo przyzwoicie. Mama dostała podwyżkę. Całe euro na godzinę więcej. Huraaa!

\* \* \*

*Mamo, nie mogę spać.  
 Myślisz, że to może być zaraźliwe? Taki wirus, który można od kogoś złapać. Nawet wiem od kogo.  
 Dzieci nie cierpią na bezsenność. Dzieci śpią jak aniołki. Wszyscy tak myślą.  
 To chyba przez te sny. Prześladowały mnie i teraz całkiem sobie poszły.  
 Czy ja Ci je już opowiadałam?  
 Kończą się podobnie. W jednym idziemy gdzieś razem, pada deszcz, ja trzymam parasolkę i zaczyna wiać taki straszny wiatr i porywa mnie z parasolką. Chcę się Ciebie trzymać, ale wiatr jest silniejszy, wyrывa mnie i unosi, i rzuca mną razem z parasolką. Wtedy się budzę.  
 W drugim idziemy przez drewniany most. W którymś momencie podnosi się do góry, otwiera na dwie połowy, ja zostaję na jednej, a ty na drugiej. Chcę skoczyć, ale się boję, połówki*

są coraz dalej od siebie. Już wiem, że nie dam rady, ale skaczę i się budzę. Trzeci jest z gumą do żucia – wypluwam ją, trafiam w drzewo, guma się przykleja i mnie ciągnie, nie mogę jej wypluć. Ty idziesz sobie dalej, a ja nie mogę, bo mam gumę, coraz więcej, coraz bardziej mnie przyciąga. Koniec snu numer trzy.

Może w jakimś senniku jest wyjaśnione, co oznacza parasolka, most i guma. Czy coś mają ze sobą wspólnego?

Jeśli chodzi o bezsenność, wszystkiego próbowałam. Zmieniałam kierunki: głowa na północ, reszta na południe, potem głowa na zachód, reszta gdzie się da.

Ciepłe kakao. Moczenie nóg w gorącej wodzie. A potem na odwrót: moczenie nóg w ciepłym kakao i picie gorącej wody.

Baranów nie liczyłam. Wiesz, co myślę o matematyce.

To jest tak, że kładę się prawie, prawie senna. Tylko przyłożę głowę do poduszki – i się zaczyna. Patataj, patataj, wielka gonitwa myśli. Żeby to była jedna myśl, nawet paskudna, odgoniłabym ją jakoś, a tak, no nie daję rady.

Jakby się tam znajdowało jakieś biuro albo centrala telefoniczna. Tysiące sekretarek i wszystkie odbierają ważne telefony, piją kawę, gadają, kłócą się, zwalniają. Wszystko w mojej głowie.

Próbuję przypominać sobie bajki, które mi czytałaś. To prawda, że nigdy przy nich nie zasypiałam. Pamiętasz o tej dziewczynce, która znalazła dziwne zwierzę w lesie? Miało łuskę i przypominało kota. Zabrała go i ukryła na strychu. I potem okazało się, że to smok. Rósł i rósł, bardzo szybko. I zaczął pożerać owce. A ta bidulka o niczym nie wiedziała, kochała go dalej. „Mój kochany smoczku. Mój ty najdroższy”. Mordercę na strychu trzymała. Potem go zabili. I był morał. Ale nie wiem jaki. Wolałam bajkę o morskiej księżniczce. Co wyszła za człowieka i tylko w swoim pokoju zamieniała się w pół-rybę. Jemu przykazała, żeby nigdy, ale to nigdy nie wchodził do jej pokoju bez

pukania. A ten wszedł. Jakby nie mógł zapukać. Musiała uciec, bo jak można żyć z kimś, kto nie dotrzymuje słowa, nawet jeśli chodzi o głupie pukanie do drzwi?

A Ty możesz spać? No tak, pewnie jesteś tak zmęczona, że ślaniaasz się na nogach. To musi być fajne uczucie, przychodzisz do łóżka, kładziesz się i już Cię nie ma. Dziadek tak ma z telewizją. Włącza, patrzy, patrzy i już chrapie. Pewnie to promieniowanie tak na niego działa z ekranu. Może mu nie zaszkodzi, tyle lat już żyje, to się przyzwyczaił.

Ze ślaniem się na nogach też próbowałam. Postanowiłam sobie, że jak tylko wrócę ze szkoły, ani na chwilę nie usiądę. Wszystko na stojąco. Chodziłam i chodziłam, ale wcale się nie ślaniałam. Może to trzeba jakoś szybciej albo z czymś ciężkim na plecach. W każdym razie jak się położyłam, to nogi tak zaczęły mnie boleć, że o spaniu nie mogło być mowy. Tyle dobrego, że zapomniałam o bezsenności, tylko że i tak nie mogłam zasnąć.

Którejś nocy próbowałam słuchać radia.

Niestety, była bardzo ciekawa audycja. Nie miałam pojęcia, czy to wydarzyło się naprawdę, czy ktoś zmyślał. Myślisz, że w radiu wypada zmyślać? Jeden bogaty pan umarł. W testamentie napisał tak: „Jedynym warunkiem otrzymania spadku przez moich spadkobierców jest ich uczestnictwo w pochówku”. Wszyscy się ucieszyli. Ale tam był jeszcze jeden mały dopisek, że ten pan życzy sobie, żeby jego ciało spalić, a pochówku dokonać na Księżycu. I się dopiero zaczęło. Kłótnia na całego. Jedni chcieli od razu rakiety kupować, drudzy do sądu podać tego, co umarł. No i musiałam słuchać prawie do końca, ale nie wiem, czy im się udało, bo to była pierwsza część.

Wiesz, co sobie pomyślałam? Że skoro w radiu jest tyle tych fal i tyle pustego miejsca, w którym słyhać sam szum, to może my mogłybyśmy mieć takie nasze radio. Tylko ja i Ty. Ty byś

*słuchała go tam, a ja tu. Czy to jest w ogóle możliwe? Pewnie tak, część audycji by się nadawało na żywo, jak miałabyś czas, a część nagrywałabyś kiedy indziej. Po dwudziestej drugiej Ty łączyłabyś się ze słuchaczami, czyli ze mną, i prowadziłybyśmy dyskusje, których nikt by nie słyszał. A jakbyś się zmęczyła, albo ja, to można by puszczać jakąś muzykę, tak się w radiu robi, nie?*

*Szkoda, że nie możesz wpadać do mnie przynajmniej na początek nocy. Potem, jakbym zasnęła, to byłoby mi wszystko jedno.*

*No nic, zaczynam ziewać. Karaluchy i tak dalej.*

L.

## IV

W odróżnieniu od Wiedźmy, pan Włodek pojawia się niezapowiedziany. Jest on najmiłszym i najzabawniejszym człowiekiem, jakiego znam. Nigdy też nie sprawdza palcem stołu, wręcz przeciwnie, rozkłada się na nim i czuje, jakby był u siebie. Do mnie zwraca się „pani Lidio”, kłania się, jakbym była królową, i podaje mi rękę, w której ma ukrytego cukierka. Udaje, że nie wie, skąd się tam wziął. Twierdzi, że niektórym otwierają się w kieszeniach scyzoryki, a jemu na dłoni wyrastają cukierki – tak ma od dziecka i żaden lekarz nie może tego wyleczyć.

Jak już mi da tego cukierka, zaczyna opowiadać kawały, za każdym razem pytając dziadka: „A zna to pan? A to pan zna?”. Dziadek albo nie zna, albo się nie przyznaje. Pan Włodek opowiada i na koniec wybucha śmiechem. Dziadek nie reaguje. Panu Włódkowi to nie przeszkadza, bo już opowiada kolejny żart. I tak to trwa przez chwilę. A potem pan Włodek prosi

o coś do picia i zaczyna przypominać sobie, jakie to prze zabawne rzeczy przydarzyły mu się w ostatnim tygodniu, że jakaś pani na jego widok zrobiła minę, jakby zobaczyła upiora. Pan Włodek na kilka sekund zamienia się w upiora. Potem przedstawia sytuację, która spotkała go w banku, jak ktoś zasnął i próbowano go nieudolnie reanimować, i to było tak śmieszne, że pan Włodek na samo wspomnienie dusi się ze śmiechu. „Pompowali tego człowieka jak balon. Aż dziwne, że im nie odfrunął”. W przerwach między tymi występami pan Włodek rozgląda się po kuchni i coś tam sobie zapisuje, ale nigdy, nawet na ułamek sekundy uśmiech nie schodzi mu z twarzy. Za to dziadek jest poważny, chociaż ostatnio raz się roześmiał. To było po słowach pana Włodka: „Co by tu wam spieniężyć”.

Ja tego nie zrozumiałam. Po co pan Włodek chce coś u nas spieniężyć? Może to ma coś wspólnego ze spiętrzaniem? Ale raczej chodzi chyba o pieniądze, tylko czyje, my przecież nie mamy żadnych. Może on chce pożyczyć od nas trochę gotówki i nie wie, od czego zacząć, wstydzi się po prostu i dlatego tak ciągle żartuje.

Przypuszczam jednak, że pan Włodek ma taką pracę, że musi przychodzić do nas i opowiadać nam te wszystkie śmieszne rzeczy. Za to mu płacą. Taką pracę chciałabym mieć kiedyś. Byłabym starszym inspektorem do spraw śmiechu. Przyjmowałabym wnioski na rozbawianie telefoniczne i wizyty domowe. „Proszę bardzo, zaraz tam kogoś do państwa pošlemy, pół godziny wystarczy? Czterdzieści minut rozbawiania, dobrze, sprawdzę w kalendarzu. Będziemy w kontakcie”. Tak się zawsze mówi na koniec ważnej rozmowy. „Będziemy w kontakcie”. A ja sobie wyobrażam, że jacyś ludzie łykają tabletki zmniejszające i włączają do kontaktu elektrycznego. Siedzą tam i krzyczą: „Tu jesteśmy, w kontakcie, dlaczego nikt do nas nie przychodzi?!?”